

Marian Szudra

Drogim kuzynkom- Marii i Marcie ten poemat rustykalno-bukoliczny poświęcam

Dłużyna

Motto:

„O, rus, quando te aspiciam...”

/Horacy/

„Życie jest tym, co spełnione, co pamiętamy, co się zdarzyło i przeminęło, aby pozostać jako wspomnienia.”

Andrzej Szczypiorski /”Początek”/

Inwokacja

Dłużyno moja droga, sielska wsi kochana
Witam cię sercem, duszą tęsknotą wezbraną,
Miłością rozlewną, rzewną i głęboką,
Która od dziecka syci myśl, ducha i oko; (...)
Kiedy stroskana MAMA zawiozła pólsierotę,
Rodzina OJCA wzięła z wielką mnie ochotą.
Obraz was wszystkich we mnie pozostanie:
Odeszły jakby nowe, ciągle zmartwychwstanie,
Żyjących-po ostatnie dni żywota trwanie
Na wzór nadpływającej stale morskiej fali.
Widzę postacie żywych i zmarłych z oddali
Jak na jawie, wyraźnie i bez żadnej skazy,
Przedstawię w słowie, dźwięku, a także w obrazie.
Bo nadszedł czas bezsłowną kończyć pantomimę,
Od zapomnienia ratować lata-czas płynie,
Chcę zebrać tu przyrody onomatopeję,
Opisać dawne, sielskie te dłużyńskie dzieje,
Przywołać tu żyjących i z Krainy Cieni...
Dla wszystkich strofy mają równe uwielbienie.

I

W pobliżu Włoszakowice wieś Dłużyna leży,
W leszczyńskim powiecie, na skraju rubieży,
Rozległa, ulic kilka i rozczapierzona
Malowniczo-w dolinie nieco położona.
Tak było w roku dziewięćset trzydziestym
Kiedy ujrzałem cudowny ten natury festyn,
Kiedy MAMA po strasznej śmierci OJCA mego

Synka dała w opiekę krewnym Władka swego.
OJCIEC w ojczyźnie własnej został bezrobotnym,
Choć rwał się do pracy, przecież był obrotnym
Synem wsi. Zginął nagle we francuskiej kopalni
Na dwa miesiąc przed powrotem triumfalnym
Do młodej żony i synków trzech pozostawionych,
Po latach wielu na obczyźnie strawionych.
Wdowia renta wynosiła sześćdziesiąt pięć złotych,
Złamała MAMA syna najstarszego po tych
Naradach na wieś dała. Pamiętam dokładnie
Ów dzień, kiedy na Nowym Rynku (było ładnie)
Wszedłem z pomocą MAMY na stopnie autobusu
Ciekawy, zdziwiony, posłuszny, bez przymusu.
Pamiętam też jak MAMA przy rozstaniu płakała
W Dłużynie. Kruczowłosa i w żałobie cała.
Więc nie zaznałem czulej, ojcowskiej opieki,
Bo pochowany jest tam, w kraju tym dalekim.
A teraz opieka tu, w po mieczu rodzinie
Gdy ledwo sześć lat życia co dopiero minie.
O, biedne dziecko takie, co w starcie żywota
Staje się pełnym albo choćby półsierotą.
Błogosławieni ludzie (śpiewam im hossanna)
Którzy tak postępują jak ze mną Ciocia Anna! (...)

Wioska była rozległa- wieloulicówka,
Szkola, fabryka, kościół i organistówka,
Plebania, cmentarz... Potem dalej wam wyliczę.
Na razie wszystko nowe mi i tajemnicze.
Poznałem koligantów, liczne parantele,
Było powinowactwa, pokrewieństwa wiele;
Też do miejsc okolicznych tutaj się jeździło,
Ale w Dłużynie gniazdo Ojca mego było.

Był i sklep, kolonialką wtedy zwany,
Kamieniarz go trzymał, z uczciwości znany;
Do tego kramu słano po różne sprawunki-
Artykuły dla domu (nie prowadził trunków);
Nafta (petrol) kosztował osiemnaście groszy.
Ten sklep Kamieniarza opiszę po trosze,
Bom kupował karmelki jak małe malinki;
Kto wiedział, że cukierki na zęby są nie zdrowe?
Grosiki owe miałem, gdym dostawał ogonowe.
(Ale o tym w rozdziale dalszym już opowiem).
Sklep zaś, o którym mowa, solidnej był budowy
Domu; przed nim opłotek, furtka, wystrój ogrodowy,
Po drzwi otwarciu zabrzmiał bardzo głośny dzwonek
Jak w kościele, gdy dzwonił nam ministrant Broniek.

Głos był sygnałem dla sprzedawcy-kupca:
Ktoś wszedł.

Wież była cicha, nie widziałem głupca
pijaka czy hultaja: z rana do wieczora
Zwijano się w pracy, dołą każdy orał
Zadowolony co miał i że się uporał.
Bo tylko zbiera plony ten człek, który sieje,
Ten co się trudzi, który ma nadzieję.
A uzbiera się wtedy plonów niemało.
Kiedy się pracy ziarno swej dobrze posiało,
Kto matce-ziemi odda się z wielką miłością.
Sam talent nie da nic bez wytrwałości.

II

Dom cioci był narożny, w ruchliwej okolicy
U zbiegu z Włoszakowice drogi i przecznicy.
Pomiędzy nim a płotem maryjna „figura”
Kapliczka prawie, z cegły wysoka góra.
Dom tonął w winogradzie i kwiatów krocich,
Słonecznikach i malwach porośniętych przy płocie;
Stodoła, chlew, szopa, podwórko z kompostem.
Z tyłu przejście tak wąskie, szło się jak pomostem
Do ogrodu, wychodka; owocowe drzewa
I granica z Błocianem, blisko jego chlewa.
Na przeciw bramy mieszkał sąsiad Obiegała,
Za nim Apolinarski. U niego mieszkała
Znajoma cioci Anny jakaś Michałkowa,
Którą po mym przyjeździe zaczęto wnet chować;
Chodziliśmy przedtem na modlitwy za zmarłych.
Przy świec płomieniach kwiatkach bez rozmów gwarnych
Leżała w trumnie blada, mizerna, tak licha
Nieboszczka Michałkowa, za życia dobra, cicha.
To było moje pierwsze ze śmiercią spotkanie,
Potem będzie korowód, żniwo śmierci-taniec.

Dom miał altanę w pnącze obrośniętą gęsto,
Tam w letnie wieczory siadaliśmy często
Na ławkach; przy rozmowach powiewał nam wietrzyk
Przez szczeble altany był przepływ powietrza.
Sień była dość obszerna, z cegiełek czerwonych,
Drzwi na wprost-kuchni a w onych
Dniach odpustu oko ku oknu wszystkich wiedzie,
Ciocia żywo woła: bucki proboszcz jedzie!
Na prawo drzwi nas wiodą do babci pokoju
Dużego; za nim drugi, mniejszego pokroju.

Oba są narożne i po dwa okna mają,
Zarośnięte „winem” a więc latem chłód dają.
Od kuchni, także i po lewej sieni stronie
Drzwi prowadzą do kobiet. Mieszkają tu w gronie.
Od podwórza jest Franka. Pokoje się łączą
Drzwiami; dom jest opięty gęstym winogradem,
Kolorowym ogródkiem, jakby małym sadem.
Tuż przy Franka pokoju po schodach drabiny
Szło się na strych przestronny; w lamusie babcinej
Tak macierzanką pachnie, różnymi ziołami,
Chybka i inne będą w chorobie lekami.
Nie było przecież aptek ni ośrodka zdrowia,
Leczniczych ziół więc trzeba mieć aż takie mrowie(...)
Każde drzwi miały w styczniu wypisane
Rok Pański i K.M.B.- tradycją przekazane.(...)
W oknie kwiaty w doniczkach, bukszpan oczywiście
Brany był na okazje wtedy uroczyście.
Tuż przy (zielonej) pompie rosła smukła grusza,
Widok oryginalny do teraz mnie wzrusza:
Owoc piękny rodziła, więc zwano ją „panną”.
Atrakcją wielką była zawsze, nieustanną.
W drewnitni trzymano też drobny sprzęt gospodarski,
Równiuteńko złożony w potrzebie tak dziarski.
A pod krów korytami biegły króliki,
W otworach miały pewnie królicze tajniki.
W rząd na półkach gruchały gołębie garłacze,
Jaskółki gniazda wiły w oborze o dasze,
Brunatne i błękitne, różne upierzone
Wprawiały wszystkich w nastrój sielski, rozmarzony.
Już od wczesnego rana robiło się gwarno,
Ciocia rychło wstaje, bo w południe parno,
Zaczyna od krów doju, dalszego obrządku:
Pasienia krów i ptactwa, wszystkiego po porządku;
Słychać już coraz bardziej krów porykiwanie,
Ówdzie stukot kół wozów, gołębi gruchanie.
-„Dzieci”! woła Ciocia-czas już na wstawanie!
Ciocia była żywotna, nosiła się skromnie
Po wiejsku, obyczajem kazanym potomnie,
Już bez czepca na głowie, ale w różne chusty,
Spódnice do ziemi sznur koralu „tłusty”,
Włosy czesała w wianek, z przedziałkiem, z prostotą.
Zawsze się starała dla dzieci swych o to,
Aby świecić przykładem swej pracowitości,
Być uczciwym człowiekiem, pełnym pobożności.
Chodziła także ciocia na tak zwane odrobki
Do księdza, gospodarzy; nie były to zarobki.
Ale rewanż za orkę albo za furmankę

(w czas odpustu w plebani była za „barmankę”)
Do zwózki zboża, siana. Nie było tu konia,
A więc szło się „na cudze”, „na pańskie” pola, błonia.
A była wszechobecna stale, przez dzień cały,
Packą muchy gonila. Muchy! U powały
Zawiedziona, skrzecząca od much muchołapka,
Inny sposób-w talerzu taka zgrywna łapka:
okrągławy kartonik cukrem nasycony,
Do którego tak lały jak w robaki wrony;
Takie to były w owy czas różne mucholepy,
Dziś nie ma jakby na złość, ku muszej uciechy.
Ciocię bardzo „słuchałem”, nie grandziłem wcale,
Każde jej polecenie spełniałem wspaniale:
Ze strąków groch obrałem, pasłem krowy, jeszcze
Żeńcom jadło i picie nosłem, pewnego razu deszcze...
Lecz o tym powiem potem.

Była taka sprawka:

Pyrki w garnku , perkot, a tu mała wrzawka-
Brak ogórków na mizerię. Ciocia wola od obórki;
Maryś weź torbę i popędź po ogórki!
Więc w te pędy pobiegłem do łąki dalekiej,
Narwałem i przyniosłem, choć noga kaleka.
Jadło było pożywne, dobre, chociaż skromne:
Rosół, mięso z królika jeszcze teraz pomnę,
Makaron, kura, ”bania”, kiełbasa też czasem,
I śledzie, co wtedy nie były rarytasem,
Fasola, placek, zupy i kasz wybór cały
(Pęczak, perłówka), inne wspaniałe specjały. (...)

III

Takie jak grusza ”panna’ były me kuzynki
Dorodne i wesołe- dwie szatoblondynki,
Maria o włosach krótszych, Marta miała warkocze,
(Marynia już po szkole), panienki urocze:
Gapilem się ciekawie, gdy Marta szła do szkoły
ogromnej. Z niej z dala gwar dobiegał wesoły.
Torbę miała- na książki, pomoce zeszyty-
Z ciemno- zielonej materii, ręcznie szyta,
Powieszoną przez ramię z elegancją, szykiem.
Obie już pomagały w polu i zmywaniu,
Na łące a w sobotę w ogólnym sprzątanu:
Wszystko lśniło, pachniało od proszku ”blasku”,
Podłogę po umyciu sypano białym piaskiem
”Aby się nie brudziło” po umyciu owym,
Potem zmiatano , piaskiem znów sypano nowym.
Piękne głosy kuzynek brały udział w chórze.

Z próby późno wracały, czasem podczas burzy,
Wesołe rozgadane ptaki świergotliwie,
Niebogate, chędogie i wielce szczęśliwe.
Gdy wpadały z kąpeli- "Kaczemką" nazwaną-
Piosenki rozbrzmiewały do dzisiaj mi znane,
Uśmiechnięte, tak miłe, tak zawsze radosne
Przypominały w domu nieustanna wiosnę.

W soboty zamiatały pół strony ulicy,
A wszystkie ich zajęcia trudno jest wyliczyć;
Prały- pranie na sznurach snęło na podwórzu-
Prasowanie- dmuchanie w "kogutka" (się kurzy)
Albo żelazkiem z "dusza" w czerwień rozżarzoną,
Przedtem do pieca z węglem długo ułożoną.

Brały mnie do Bukówca i po okolicy:
Do grabiny, Skarżynia... Dużo by wyliczyć;
Z Marynia i ze Stasiem siedziałem w ogrodzie
Na kocu- w niedziele przy ładnej pogodzie,
Nie byłem dla parki niemiłym balastem,
Ba, poczęstowali klymkim albo "swoim", ciastem,
Stasiu miał nowy rower, lśnił nikiel wśród słońca,
W podziwie i zachwycie patrzałem bez końca. (...)

...

Czasem w nocy zbudził nas nagle stróż wioskowy,
Przy Bednarczyku budkę miał- zwał się stójkowy
Wtedy trąbił na pożar, ruszyli strażacy
Pompierami też zwani ci wiejscy chłopacy,
Krzepcy, gibcy i pełni u dziewczynek czaru
Opanują zarzewie- początek pożaru.

Znów cisza. Tykot- co pół godziny cos puka,
Ach, to kukułka- zegar te godziny kuka,
Wisi od drzwi po lewej stronie i urąga!
Ciężkie bażki z łańcuszkiem ciocia wciąż naciąga.

Ksiądz przychodził do babci ze świętą komunią,
Obrus w bieli, na stole krzyż i świece płoną,
Przy okazji pogłaskał malca po głowinie
Pamięć o nim przez myśl dotąd moje płynie...
TAK POWOLI JAK GĄBKĄ CHŁONAŁEM DŁUŻYNE

...

W sąsiedztwie cioci domu- ogromna fabryka,

Zatrudnia dużo ludzi- pięćdziesiąt człowieka
Ruch, gwar, stukot maszyn od samego rana,
Buczy syrena, sadzą skąpiana.
Tak więc zarazem w życiu początku
Poznałem wieś i miejski przemysł- coś w zaczątku.
Tu kuzyn Franuś jako ślusarz już pracował.
Franek był wesoły, lecz ciężko chorował.
Przedtem lubił zabawy, wesołość swobodę,
Był szczupły i przystojny, miał Szudrów urodę
Pamiętam po tych latach!-: do łoża przykuty
Stale kaszlał, pluł ropa, z wolności wyzuty
A ja przy nim jak wierny, pokojowy piesek
Siedziałem na podłodze, jak przy mamce osesek
I rozmawiałem. A on tak mi bliski, drogi
Nie mogąc opuścić swe domowe progi,
Wdzięczny mi ściska. Kaszle, pluje wciąż, bez końca
I jeszcze nie wie, że wnet nie zobaczy słońca
I wiosny, gdy pęcznieją tak krzewy oraz drzewa,
Zakwitają pierwiosnki w słonecznych promieniach,
Gniazda wiją ptaszęta, ruń w łąkach i polach
Nad którymi trzepoce już skowronek rolak,
Pająk snuje nici a bociany klekocą,
Kumkanie żab nadciąga od łąk do północy
Nie zobaczy już Franuś forsycji, żonkili,
Ubywa mu niestety tygodni i chwil.
Jeszcze ciocia do Śmigła do lekarza jedzie
I ja towarzyszyłem im w tej strasznej biedzie,
Pamiętam wille piękną, dwie duże kolumny,
Podróż ucieszyła mnie, byłem pewnie dumny.
Ale

Piękna przyroda już mu nie rozdzwięczy
Swymi głosy, barwami jak w czarownej tęczy...
I nie zobaczy lata, sitowia, motyli,
Łąki i tataraku, tych uroczych chwili,
Gdy kłos ciężarem ziarna na polach dojrzewa.
Kukułka kuka, słowik trelem pięknym śpiewa,
Gdy jesienią żurawi klangor znaczy wyraj...
I zimy nie zobaczy, onych płatków śniegu-
Wirujące motyle w ciągłym locie, biegu...
Dio! Wszystkich tych piękności natury nie wyliczę...
MAJĄC LAT DZIEWIĘTNASCIE FRANEK ZMARŁ NA GRUŻLICĘ
Śmierć kuzynka Franka mocno mnie wzruszyła,
Zjawisko nadzwyczajne taka miłości siła
Sześciolatka do dotąd nieznanego Franka.
Jak mogę wypowiedzieć jego sprawy całość
Gdy łyzy w oczy się cisną? Płacz łagodzi żalność.

Pogrzeb, trumna i kwiaty i cmentarna bramka,
Ostatnia droga ziemską kochanego Franka.
Już po egzekwiach, ludzie idą do swych domów,
Ja pozostaję i trwam tutaj po kryjomu
Sam. Na stypie panika: nie ma tu Marysia!
Ogląda się ten i ów- nie ma chłoptysia.
Szukanie: i na dworze, w pokojach, na strychu,
Bez skutku nie ma! Ani widu ani słyhu!
Wreszcie samego w zmroku biorą mnie z cmentarza
W podziwieniu, bo rzadko "takie coś się zdarza".

VI

Gruntu uprawnego dwa i pół arealu
Za wsią. Krowim zaprzęgiem jedzie się pomału,
Polną drogą: mijamy szerszą "przy kamieniu"
W poprzek idącą, do Bucza. Tak bez krzty cienia.
Ten skrzyp kół w koleinach, wolno idą krowy
W zaprzęgu- jeździe siłą pociagową.
Wreszcie widać łąk zboża- to "Dłużykie" pole,
Poprzetykane makiem, chabrem i kąkolem,
Które kocham a miłość do nich tu się zaczęła.
Jak potężna z dzieciństwa jest tych wrażeń siła!
W brzezince pasę krowy i na małej łączce,
Trzyma je powróż w małej, jeszcze dziecka rączce,
Kobiety w polu mają przeróżne zajęcia,
Mieszczuchy o tym "bez zielonego pojęcia",
Chwasty- zielsko to klęska, też polne kamienie
Są dla rolnika, i gleby uciemieniem:
Krowy się pasą, mijają rzep na łopianie,
Innych wieśniaków też pełno na dalszym planie,
Sąsiad Paul sąsiaduje z naszej lewej strony,
Zaś z prawej Chałupka, on właśnie przywiózł brony
Na smyku. Smyk to płoza z trzech kłocy zrobiona,
Dwa boki dłuższe, krótszy z tyłu, ot, ramiona
O wyglądzie ściętego trójkąta; przydatny-
Bez orczyki, dyszla, kół, orczyka i zdatny
Do przewozu pługa czy płachty nim wożonej.
Krowy dotąd zaprzężone
Teraz skubią trawę, a z jarzma uwolnione
(Chomątem też zwane) idą w każdą stronę.

Raz popołudniu była dramatyczna sprawa
Kiedy w dłużyńskie pole szła nasza odprawa;
Nagle ćma, błyskawice grzmoty,
Ulewa i panika. I koniec roboty.
Stało się nagle, strasznie- krowy przerażone

Do kół wozu związano, rzeczy przemoczone,
My pod wóz, ale nie była to hela,
Schorowanie nic nie dało lub dało niewiela.
A wóz tańczył miotany dzikimi krowami,
Szły w niebiosza zaćmione modły za modłami...
Wreszcie ucichło, ale z przerażonych twarzy
Czytałem, że raz jeszcze piekło się wydarzy,
Jednak burza nie wraca, powoli odchodzi,
Jedziemy w dom w nanosie- szlamie po powodzi.
Po tym zdarzeniu, wszyscy przemoczeni cali,
Nie pamiętam już, czyśmy potem chorowali.

VII

Tuż za Nietscha fabryką Michałowski mieszka,
Gospodarski syn Ludwik stał się mym koleżką.
Chodziłem tam. Od bramy w dom ich szmat ogrodu,
W budynku schowanko, ot, dziura na piasek
A tam bawiliśmy się też z siostrą czasem
(Siostra mała czarnula zwała się Kostynka,
Na Marci weselu już "do grzechu" panienka).
Na ogromnym podwórzu wozy i różności,
Ludwik wsiadł na koń, patrzy z końskiej wysokości,
Zdziwiony nie umiałem Ludwikowi sprostać-
Malec rosłego konia dosiąść? Jak się dostać?

Tu biegają owieczki, baranki (jagniątka),
Tam, co żywo, wpychają pokrzywy gąsiątka,
Gęgot stada gęsiego, poślad zapychają,
Już w wozowni na pole wozy wyciągają,
Z olejarni przywieźli makucha wielkiego
Dla krów- po wyciśnięciu oleju lnianego,
Śruty wielkie są skrzynie, równo ułożone,
od którego tak kwiczą świnię upasione,
Uprząż: szory i lejce (cugle albo wodze)
Ładnie poukładane, a nie na podłodze
Siewnik gotów do siewby albo siewu inaczej,
Haki, brony, łopaty pługi dla oraczy,
Wszystko schludne, uprzątnięte przy każdej sobocie,
Co do koni to widać; zgrzebło często w robocie.
Czasem jazgot okropny- kierat się obraca,
Od niego zwie się ciężka, jednostajna praca.
Koleś zna się już dobrze w koni obroczeniu,
Wie, mierzwa albo gnój, wie co krów pojenie
I pomagają już także w młynkowaniu (wianiu)
(To zającie to ziarna od plew oddzielanie).
Ja na to wszystko zerkam ciekawie, ukradkiem,

Nie przeczuwając wcale, że zda się przypadkiem:
Te snopki, młocka (omłot), cepy, nawet gazwa.

Sieczkarnia

Ozimina, poplon- (co za nazwa),
Końska kolka albo ćwikły dla krów "krajanie",
Karcz (karpa, pniak) psi węch- czuch... Język w gębie staje. (...)

Że bywalcem Ludwika dość często bywałem
Wiedziałem też co to są pyrki "nabolale",
A potem widziałem i to- mowa będzie potem-
Że kośba zboża za dzień dała dwa, trzy złote.
A ile ubieranie?- w spiekocie, bez cienia.
U kamrata widziałem kadziel do przedzenia
/Pęk lnu/ i kołowrotek.

Jak on lubił konie!

Bo każdy wiejski chłopak w końskiej sprawie tonie;
Koń chrupie owies tak bez łapczywości,
Wargami zgarnia ze złoju, z delikatnością,
Też wodę pije cicho, a nie jak pies chłepce
A jak dostojnie stapa albo wolno drepce!
Spokojnie po drabinie też sięga po siano.
Tam pierwszą edukację o koniach mi dano.
W polu Michałowskiego wiatrak skrzydła rozwarł
I jak Antka u Prusa tak i o mnie on porwał,
Patrzałem w te potęgę jak "w obrazek święty",
Potem w Śmiglu, Osiecznie, Lesznie nim przejęty.
Na "młyn" wozila ciocia parę worków zboża
Na przemiał. Szum żarn- kół młyńskich, pył, trzepot

... zgroza ...

Młynarz klapę podnosił, wór wciągał łańcuchem
I dawał mlewo- mąkę, gdy przyroda duchem
Jak gdyby swoim- wiatrem ten wiatrak pędziła.
Tak meł a potem mąka chleb żanny rodziła.

VIII

Kościół dłużyński stoi w niedużej depresji,
Wielki, tynk biały, wieża, miejsce dla procesji,
Okolony drzewami daje sercu wrażeń,
Najpiękniejszą ozdobą są okna- witraże,
Wykonał je zapewne artysta- witrażysta;
Blask dodaje starodrzew- drzewostan wiekowy,
Kościół ma organy, jest niebocznonawowy,
Placyk przed świątynią od furmanek rojny,
Zajeżdżają bryczki po tygodniu znojnym
Na sumę vel wielgimszą od strony cmentarza

Ten teren przykościelny tę możliwość stwarza
Cizba, tłum, moc "narodu". Z kropidła potopu...
Ksiądz idzie przez kościół z "Asperges me hysopo" ...
Dzisiaj na rewerendę (zwaną też sutanną)
Przywdział ornat z jedwabiu- w święto Zielnej Panny
Żniwnymi wieńcy kościół wdzięcznie przystrojony,
Girlandy i sztandary, w brzoźki umajony
W kwiatach tonie. Śpiewa chór. Pieśni wzniosłe, znane,
Zapachy z kadzielnicy (kasoletą zwaną)
procesją, śpiew, banderia.

Cisza. Kazanie

/Dziwnie teraz homilią wszędzie nazywane,
Lud Boży zaś proboszcza jakże pilnie słucha,
Kornie o deszcz modlą się, bo trwa już posucha,
Ksiądz wszystko wie, kształcony, "szkoły ma za sobą"
A więc w takiej wiosce dla ludu jest ozdobą;
Majestatyczna cisza, ledwo mucha przeleci,
Na bocznego ołtarza stopniu stopniu siedzą dzieci
Ja pośród nich, w zachwycie impresją promieni
W kolorowych witrażach, czarownie się mieni,
Estetyka, przeżycie, chwila piękna, droga...
Ksiądz powiada... Że ziemia rodzi z łaski Boga.

Naprzeciwko kościoła jest wielka plebania
z klombami. Z masłem słał mnie tam ciocia Anna,
gapiłem się w kuchni na lamperię po trosze,
Ksiądz zaś dał mi "za drogę" aż pięćdziesiąt groszy! (...)
W pojemnym, elewacji białej kościele dłużyńskim
Proboszczował w czas owy dziekan Julian Dembiński.
Długi dom parterowy ze spadzistym dachem
To organistówka (potem już kryta blachą),
Organistą wtedy Przybył, śpiewał pięknym głosem
Podczas mszy oraz ślubów i u kresu losu,
Chór prowadził i cudnie grywał na organach
Na sumie i roratach, prymarii- mszy z rana.
Była w organistówce salka parafialna
Na kościelne imprezy i akcje specjalne
Dla młodzieży jedyne miejsce bytowania
A dla starszych instruktaz szkoły gotowania.
Nie było wtedy kiosków czy trafiki marnej,
Naszych wygłupów w postaci dyskotek gwarnych.

Ale był odpust, kiermasz przykościelny, raj, budy!
Chmara rozbawionego "po kościele" ludu,
Dra się "kogutki" z blaszek gdy się w nie podmucha
Grajka, kataryniarza naród ciekaw słucha. (...)
Kilometr //! od Dłużyny kościół //! w Charbielinie.

I tam w dzień odpustowy w "kompanii" lud płynie,
Sztandary, śpiewy, obrazy...Przez las wiedzie droga
Obok łąk ukwieconych; pątnik pragnie Boga,
Kościół widzi na wzgórzu, boży dom drogi
I kiedy już przekracza owe święte progi
Jak lawa bucha czy jak wielkie wołanie:
Jesteśmy tu! Stoimy u drzwi Twych, Panie!
Wzmocniony bożą mocą tłum zwolna maleje
I pójdzie do pracy, gdy tylko zadnieje.

IX

Łąka była nieduża, małego formatu
Ale barwność tylu warta poematu.
Była ona za wsią i "Błoto" się zwała.
Oto jak wygląda droga do niej cała:
Brukiem, tuz obok szkoły droga wiodła prosto,
Za piekarzem i Burym zakręt w lewo ostry,
Obok kościoła i cmentarz. Wóz trzeba zatrzymać.
Na spadzistej drodze nie można krów utrzymać,
/Konie: lejce są, cugle – to jest co innego!/
Więc łańcuch się zakłada do koła przedniego
By wóz hamował; koła oczywiście lewego.
Dalej idą dwie drogi, lewa na Zabrodzie,
My zaś skręcamy w prawo, przy księdza ogrodzie,
Omijamy stodołę i chlewy z kamienia,
Sad z ogrodem warzywnym, wielki, bez ogrodzenia,
W nim mały stawek, grążele czyli nenufary,
Kąpię się tam dziewczynka i chłopak niestary,
Z prawa wspaniały widok- to las akacjowy
(W akacjach i brzożach odkrywam już świat nowy),
Wreszcie pasmo łąk, drzewa w szpalerze, dzielące,
Sznury łąk malowniczych jak paw, łąka przy łące...
Na przodzie małe poletko, piaszczyste na żyto,
/Do innych celów gruntu tego nie użyto/
Dalej szmat czarnoziemiu i żyzne zagony
Są przerżnięte rowami, dają wielkie plony:
Kapusty i marchew, ogórki... Jakież kolory!
Sałata i na żerdkach wielkie pomidory;
Przy zagonach na łące rzędy drzew olchowych,
O które chętnie od gazów czochrają się krowy.
Łąka jest długa z wysoką pośrodku topolą,
Sądził mój tata, być może z tą wolą,
Że kiedyś najstarszy synek- Maryś to znaczy
Dzieło rąk Jego tutaj też zobaczy.
Niestety, nie ma go tu w naszej polskiej ziemi,
Spoczywa tam we Francji z grobami obcymi.

Na końcu łąki kanał- rów o czystej wodzie,
Przełożyć trzeba deskę by przejść na Zabrodzie,
Woda w nim arcyczysta. O, czasie daleki!
Teraz rzeki, jeziora zamieniono w ścieki,
Idzie ku człowiekowi wielka Przyrody skarga:
Zginie pyszałek, który natury prawa szarga.

Na łąkę krowy gnałem, bywało w niedzielę,
Na postronku gęsiego, dwie, a wiec nie wiele
Na powrozie za rogi. Biel Koszuli, w portkach,
Gruszkę, placek i klymki szykowała ciotka,
”Bestra” zawsze szła przodem- łagodna łaciata,
Czeremcha mi pachnie za Wańską chatą,
Pośród drobnych mych zajęć (na większe nie stanie
Było więc krów ”żenienie”, czyli krów pasanie,
Nie na wspólnym pastwisku- wygonie, paśniku
Lecz na soczystej łące, jakby w okólniku,
Obok tych moich krowin sobie przysiadalem
I piszczałki z olszyny ”żydkiem” wyrzynałem.
Rygulski z prawej, Sterna z lewej- to sąsiedzi,
Gospodarze bogaci, dobrze im się wiedzie.
Po zdarciu dorny/darniny i torfu kopaniu
pozostawili rowy ci kopacze- dranie,
Rów był po lewej stronie a na metr szeroki
I niezabezpieczony ze żadnego boku.
Jednego popołudnia krowa moja wpadła,
W słup soli się zamieniam, klęska taka spadła,
Wołam ciocię, a ta w krzyk, od ludzi się kłębi
I wzięli się za krowę ”chłopy” z powrozami
Pod brzuch. I wyciągali z trudem- łańcuchami.
Po prawej stronie łąki wolna przestrzeń mała
Między drzewami, tam podsięk- sadzawka stała,
Raj dla boćków, bo żabek gromadka tam cała.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi
W natury majestacie widzę obraz nowy:
Głosy ludzi i brzęk kos, boćki klaskające,
Żab kumkanie i ptaki w niebo szybujące,
Gzegzółki (kukułka) kuka w uchu pozostanie,
trele słowicze dodać trzeba w ptakostanie,
Bydło z wygonów wraca do obór w kurzawie,
Zatańczą świerszcze, polne koniki na trawie,
Zapadnie zmierzch, zamilknie dziecięcia płkanie,
Robaczków świętojańskich, błędnych ogni czas nastanie...
Umęczeni pod wieczór do domu wracają,
Na los człowieczy wcale, nic nie narzekają.
Życie biorą jakie jest- cieszą się co mają.

Koszenie łąki czyli kośba, sianokosy,
Pierwsze , otawa (potraw) drugie traw pokosy;
A do sieczenia chłopcy ruszały o świcie,
Kosi kosa póki rosa mówi się skrycie
I tak cały dzień trwało to łąk sianożęcie,
Kosy, oselki, upał i żadne klęcie
A teraz? I kombajny i różne traktory,
W ogóle elektryczność i na prąd motory!
Zdażyć nieraz nie mogę w ochronnej odzieży),
Najstraszliwsze to: ziemia odłogiem leży!
dziwny kraj i co on ludziom swym zbuduje,
Miast zboże eksportować, sam je importuje.
Pamiętam Ratajczaka, tak, teścia Maryni,
Spokojny pracowity, do dzisiaj go cenię;
Kosiarze przy kolacji w babci izbie siedzą,
Poważni, skupieni cichcem piją, jedzą,
Na koniec sięgną do kieszeni, zażyją tabaki,
Ciocia stawia kwaterkę, zaś nie cieńkusz jakiś.

W lewo od kościoła jest droga do Zabrody,
Źródłko z brzegu płynie, dobre dla krów ochłody,
Na Brodach także olsza- w podmokłych terenie,
Wpierw przedłaka jakoby Nowe serca drzenie:
Modra kapusta, inne też już warzywa, śliwa...
O, jakże moja dusza tutaj jest szczęśliwa
I aż do teraz radość od tamtąd przeżywa.

Ziemniaki tam kobiety ”hakają” motyką,
Potem sierpem rzną trawę z owadzią muzyką.

...

Takie to były czasy- cena trudu, praca,
Wszystko się tak zmieniło- nie jesteśmy tacy
I taka dla mnie rada jest i także dla ciebie:
Prostak od innych, szlachetny od siebie.

...

X

Z Boguszyna lumpiarz przyjeżdżał po starocie,
Wozak o jednym koniu, biedak, nie miał kroczi,
Trepki- chodaki, onuce- owijacze na nogach,
Po przeróżnych odległych wiejskich jeździł drogach
Dzwonem jak w kościele przybycie otwiera:
”Butelki i żelastwo, stare garnki zbieram”!

Wita wszystkich nadbiegłych swym miłym uśmiechem
A wołania jeszcze hen płyną po wiosce echem,
Za zniesione starocie daje nici, zabawki...
Ja piłeczkę na gumce prosiłem dla wprawki,
Posadził mnie czasem też na kozła (siedzenie)
Z owsem dla konia i tak woził po Dłużynie.

...

Opisze teraz mocne, straszne wydarzenie.
Niedzielne popołudnie, bzyk much, każdy drzemie,
Ciocia prosi bym zaniósł krewnej Bednarczykowej
”Tajemnicę”- koronkę, bym zmienił na nową;
Było to metrów dwieście. Ledwo wszedłem za bramę
Wpadł na mnie mały kundel, bydlę rozpasane
I wżarł się w obie kostki prawej bosej nogi,
Wołała jakaś kobieta siedząca pod progiem,
Puścił. Ja całą drogę powrotną krwią znaczę,
Popłoch domowych wielki, rozpacz a ja płaczę,

Ciocia wlewa w wiaderko koloru szarego

Pół litra ”bryndy” – denaturatu modrego.
Zemdlałem. Nazajutrz noga ”zaogniona”.
Obrzęk, ból i nie chodzę. Ciocia tym zmartwiona
Zawija mnie w ”płachtę’ i bierze na ramiona
Do Włoszakowickiego lekarza Nowaka,
Pięć kilometrów drogi polnej, długa taka!
Płachta ta była jak na worki z materiału
I cztery ”rogi’ – sznury, metr na metr cały
Wielkości; zwykle trawę w płachty te wiązano.
Mogło być co innego: słoma, siano.
Ale skończyła się tak sprawa pokąsania:
Rana się ”paprze” wizyt sporo, czekania,
Wielokroć tam byliśmy, ciocia wciąż się boi,
Ludzie mówią: rana ”po psie” źle się goi.
Noga goi się wolno, już coraz mniej boli,
Wreszcie wstać też mogę, lecz chodzić powoli.
Doktor zagoił. Ślady dotąd pozostały
Chodzę sprawnie, aparat wiązadłowy cały.

...

Sprawa kozy. Kozę stara białą, z brodą
Długawą ciocia miała; kir padł na zagrodę:
”Cyga” nie żyje. Wują Józef z Leszna przybył,
zdarł skórę i zakopał kozę, po czym wybył.
Głęboko byłem za nią pogrążony w smutku,

Kwiatuszki "na grobie" jej zatknąłem w ogródku.

...

Sprzedawano jałówkę czyli młoda krowę,
Trzymałem ją za ogon, dali "ogonowe",
Właściwie za powróż- zwał to postronkowe.

...

Epilog

Musiałem to opisać, zegniam się z Parnasem
A wy kuzynki Drogie myślcie o mnie czasem
I tych czasach sielskich, które tak w nas trwają,
Umiłowane, balsam do duszy wlewają;
Rozbrat jest zawsze ciężki z Dłużyną kochaną,
Tęsknota ta do końca życia pozostanie.

Tu pokochałem łąkę- serce za nią poleci.
Potem nad Obrę, Nałęczów i do Noteci,
I do tych pól obsianych zbożem różnym:
Pszenica i jęczmieniem, i owsem. i żytem.

Wszystkie wspomnienia biorę jak kochana w objęcia
Teraz, po latach sześćdziesięciu pięciu,
I niechaj one trwają na "rzeczy pamiątkę"
Kiedy los nas prowadzi nad osiemdziesiątkę.

A gdy już Biała Pani usidli trójkę w matni
Niech te wspomnienia czyta jeszcze ten/a/ ostatni/a/.

(Pisałem w Chodzieży, Skończyłem w niedzielę 7. maja 1995 roku, godz. 17:02)